ROZMAITOŚCI.

Dnia 28. Listopada. № 48. Roku 1855.

KILKA RYSÓW Z ŻYCIA
Południowéj Ameryki.

Z dziennika podróży młodego Anglika.

(Ob. N. 47. Rozmaitości.)

II. Geografia i Geologia.

Odpoczywaliśmy w cieniu drzew blizko godzinę, a konie nasze używały na wybornéj paszy, która obficie około nich rosła. Rozmawialiśmy o ciekawym kraju, któryśmy przebywali; ciekawym pod względem geograficznym, geologicznym, botanicznym i historycznym; ciekawym pod każdym względem.

Jestem, mogę powiedzieć, podróżnikiem z profesyi. Pragnąłem bardzo poznać dzikie krainy stami mil rozciągające się około nas, a nikt nie mógł mię o nich tyle nauczyć co Seguin.

Moja podróż w górę rzéki mało mię wtajemniczyła we fizyognomią kraju. Cierpiałem wtenczas straszną gorączkę; a to co wówczas obaczyłem, zostawiło w moim umyśle ledwie słabe ślady, — niby same wspomnienia.

Ale teraz, gdy odzyskałem dawne siły, widoki które się przedstawiały moim oczom, już to zachwycające, strojne całém bogactwem południowém, już to dzielne, niespodziane, malownicze, żywo działały na moją imaginacyę.

Wspomnienie, że ta część kraju zawojowaną niegdyś została przez towarzyszów Korteza, jak tego dowodziły liczne ruiny; że była napowrót odzyskaną przez dzikich pierwotnych jéj dziedziców; obrazy scen tragicznych które musiały towarzyszyć temu odzyskaniu, budziły we mnie tłum myśli romantycznych, do których wybornie przypadała otaczająca nas rzeczywistość.

Seguin chętnie się udzielał — posiadał wysoki stopień inteligencyi, i miał bardzo szeroki pogląd na rzeczy. Nadzieja uściskania wkrótce dawno utraconego dziécięcia, utrzymywała w nim życie. Od wielu lat nie czuł się tak szczęśliwym.

— To prawda, rzekł odpowiadając na jedno z moich pytań, że tutejsza okolica, o ile sięga po za granice osad Mexykańskich, w ogóle prawie zupełnie jest nieznana. Ci, którzy mogli nakreślić jéj kartę geograficzną, nie zrobili tego. Za

nadto byli zajęci poszukiwaniem złota; a dzisiejsi nikczemni ich potomkowie, jakeś to pan zapewne uważał, za nadto są zajęci wzajemném okradaniem siebie, żeby mogli myśléć o czémkolwiek innéin. Nie wiedzą nic o kraju leżącym po za obrębem ich posiadłości, a pustynia codzień nowe nad niemi odnosi korzyści. Cała ich wiadomość o niéj ogranicza się na tém, iż ztamtąd przychodzą ich nieprzyjaciele, których boją się jak dzieci wilka albo wilkołaka.

Jesteśmy tu, mówił daléj Seguin, prawie w samym środku stałego lądu — w sercu Sahary amerykańskiéj.

Nowy Mexyk jest tylko oazą — nic więcéj. — Pustynia otacza go do koła, pasem na sto mil szerokim; w pewnych kierunkach można ujechać po tysiąc mil od del Norte, nie spotkawszy kawałeczka ziemi żyznéj. Oaza Nowego Mexyku winna byt swój użyzniającym wodom del Norte. Jest to jedyne miejsce zamieszkałe przez białych, począwszy od prawego brzegu Mississippi aż do brzegów oceanu spokojnego, w Kalifornii. Przybyłeś pan tutaj przez pustynie, nie prawdaż?

— Tak jest. I w miarę jakeśmy się się oddalili od Mississippi, a zbliżali do gór *Skalistych*, kraj stawał się coraz puściejszy. W ciągu trzystu mil ostatnich, z trudnością zdołaliśmy wyszukać dosyć wody i trawy dla naszych zwierząt. Alež czyž tak samo miałoby być na północ i na południe od drogi którąśmy jechali?

— Na północ i na południe, na przestrzeni tysiąca mil, od równin Texas aż do jezior Kanady, — wzdłuż łańcucha gór *Skalistych*, aż do połowy drogi od osad nad brzegiem Mississippi położonych, nie znajdziesz pan ani jednego drzewa, — ani jednego źdźbła trawy.

— A na zachód od gór?

— Tysiąc pięćset mil pustyni wzdłuż, a siedmset do ośmiuset w szerz; ale okolica zachodnia nosi zupełnie odrębny charakter. Jest rozmaitsza, bardziéj górzysta, i jeżeli to być może, jeszcze bardziéj pusta.

Ognie wulkaniczne wywarły na nią silne działanie; a lubo tysiąc lat upłynęło od czasu jak wulkany wygasły, jednakże skały wzruszone ogniem, w wielu miejscach zdają się jakby świeżo na powierzchnią ziemi wyrzucone. Kolor lawy i strumieni, siarki, pokrywających ziemię na wiele mil do koła, nie uległy żadnéj zmianie pod wpływem roślinności i klimatu. Wpływ klimatu nie wywarł tutaj żadnego skutku, bo w tym środkowym kraju jest on prawie żaden.

— Nie rozumiem, jak to być może.

— Zaraz się wytłumaczę: zmiany atmosferyczne są tutaj mało znaczące; rzadko bywa tu deszcz albo burza. Znam takie okolice, w których od wielu lat nie spadła ani kropla wody.

— A czy niepotrafiłbyś mi pan wytłómaczyć tego fenomenu?

— Ja mam swoję własną teoryę; możeby ona niezdołała zaspokoić uczonego meteorologisty, ale ją panu chętnie wyłożę.

Nadstawiałem ucha z ciekawością, bo wiedziałem, że mój towarzysz jest człowiek pełen nauki, doświadczenia i ba-

dawczego ducha, a przedmioty tego rodzaju zawsze mię żywo zajmowały; on tymczasem mówił daléj:

— Nie może być deszczu, gdzie niema pary w powietrzu. Nie może być pary w powietrzu, gdzie niema na ziemi wody, którąby ją wydała. A tutaj niema wiele wody; i to nie bez przyczyny.

— Ta pustynia jest bardzo wysoko położona; jest to bardzo wyniosła równina. My np. stoimy tutaj mniéj więcéj na sześć tysięcy stóp nad poziom morza wyniesieni. Ztąd źródła są tutaj bardzo rzadkie, bo wedle praw hidraulicznych, źródła muszą odbierać zasiłek od krajów jeszcze wyższych — a krajów wyższych niema na tym lądzie.

Przypuśćmy teraz, że cały ten kraj pokryty jest wielkiém morzem, otoczoném zewsząd ścianą wysokich gór, które go przerzynają; a przekonany jestem najmocniéj, że w chwili tworzenia się tych wklęsłych równin, morze takie istniało. Przypuśćmy tedy że takie morze istnieje, nie mając najmniejszego nigdzie odpływu; — mimo tego z czasem przeniesie ono się do Oceanu, a okolicę zostawi tak suchą, jak ją pan widzisz teraz.

— Ależ jakim sposobem? Przez parowanie?

— Przeciwnie przez brak wszelkiego parowania; i według mego przekonania, tak jest, nie inaczéj.

— Nie mogę tego rozumieć.

— Rzecz bardzo prosta. Kraj ten, jakem to powiedział, jest bardzo wysoko położony; w następności powietrze jest tu wcale zimne, a parowanie daleko słabsze niż na wodach Oceanu: Daléj, — między Oceanem, a temi morzami wewnętrznemi, istnieć musi wzajemna wymiana ewaporacyi, za pośrednictwem wiatrów i prądów powietrznych; bo tym sposobem tylko odrobina wody może się zabłąkać nad te równiny. Ta wymiana będzie się dziać oczywiście na korzyść mórz wewnętrznych, ponieważ ich siła ewaporacyi jest mniejsza, i dla innych jeszcze przyczyn. Nie mamy teraz czasu badać je szczegółowo, i obliczać ściśle ich rezultata. Musisz się pan zatém ograniczyć obecnie na przypuszczeniu, a wolnym czasem zastanowisz się pan nad niemi bliżéj.

— Zdaje mi się że się domyślam, i że rozumiem już jak się to dzieje.

— Cóż tedy daléj? Oto morza wewnętrzne będą się wypełniać stopniowo, aż się nareszcie przepełnią. Piérwszy strumyczek, który przepłynie ponad brzeg, będzie hasłem jego zniszczenia. Woda pomału wyżłobi sobie kanał wskróś ściany gór. Zrazu będzie on mały, ale z czasem stanie się szerszy i głębszy pod ciągłem działaniem prądu; aż nareszcie po mnogich latach i wiekach, setkach, a może tysiącach wieków, stanie taki ogromny otwór jak ten (i Seguin ukazał mi *Kanion*), — a niebawem potém taka wyschła płaszczyzna jak ta, którą mamy za sobą, stanie otworem dla poszukiwań zdziwionego geologa.

— A więc pan sądzisz, że płaszczyzny leżące między Andami a górami Skalistemi, są łożyskami mórz wyschniętych?

— Niemam najmniejszéj pod tym względem wątpliwości. Po wzniesieniu się tych ogromnych murów, wklęsłości między niemi utworzone musiały się oczywiście wypełnić deszczami Oceanu i utworzyć morza, zrazu bardzo płytkie, potém coraz, coraz głębsze, aż nareszcie poziom ich zrównał się ze szczytem gór, które im służyły za zaporę, a one wyżłobiły sobie drogę powrotu do Oceanu.

— A czy już teraz niema nigdzie morza tego rodzaju?

— Jest wielkie jezioro *Sale*. Leży ono w kierunku zachodnio-północnym od miejsca, w którém jesteśmy. To nie jest właściwie morze, ale raczéj cały systemat jezior, źródeł i rzék słonych i słodkich; a wszystkie te wody nie mają żadnego odpływu do Oceanu. Są one zewsząd zamknięte pagórkami i górami, które razem wzięte stanowią cały system geograficzny.

— A czyż to nie zbija pańskiéj teoryi?

— Nie. Wklęsłość w któréj ma miejsce ten fenomen, jest daleko niżéj położona, niż większa część płaszczyzn pustyni. Siła parowania równoważy tedy przybytek ze źródeł i rzék, i neutralizuje jego skutki. To zależy jeszcze nie tyle od małéj wyniosłości kraju, ile od szczególnego spadku gór, które tych wód dostarczają. Umieść pan okolicę tę w strefie zimniejszéj, *caeteris paribus*, a z czasem woda wyżłobi sobie kanał odpływowy. Jezioro to jest z téj saméj kategoryi co morze Kaspijskie, morze Aralskie i morze Martwe. Nie, mój przyjacielu, istnienie wielkiego jeziora Sale nie sprzeciwia się mojéj teoryi. Jego nadbrzeża są żyzne; a to z powodu deszczów, które wydają masy wody między niemi zawartéj. Ale deszcze te ograniczają się na bardzo małym zakresie, i nie mogą działać na cały kraj pustyń, który jest wiecznie suchy i bezpłodny, dla wielkiéj swojéj odległości od Oceanu.

— A pary wznoszące się z Oceanu, czyż nie mogą nigdy dosięgnąć pustyni?

— Owszem dosięgają jéj niekiedy, jak to już powiedziałem, gdyż w przeciwnym razie deszcz by tutaj nigdy nie padał. Czasami pod wpływem jakich nadzwyczajnych przyczyn, jakiemi są np. wiatry gwałtowne, chmury w wielkich masach zabiegają aż nad środek pustyni. Wtedy powstają burze, i to burze straszliwe. Ale w ogólności przybywają tutaj tylko same ostatnie krańce, kawałki obłoków, które w połączeniu z wyziewami miejscowemi źrzódeł i rzék krajowych, sprawiają zwykły deszcz tutejszy. Wielkie masy wyziewów, które się wznoszą z Oceanu spokojnego i idą w kierunku wschodnim, zatrzymują się zaraz na wybrzeżach, i tam składają swoje wody; te które się wznoszą wyżéj i potrafią przejść po nad góry, idą daléj; ale o sto mil ztamtąd, zatrzymują je znowu szczyty wyższych gór *Sierra Newada*; tam się zgęszczają i wracają do Oceanu prądem na *Sacramento* i *San-Joaquin*. Tylko sam rąbek tych chmur, który się wznosi jeszcze wyżéj, i zdoła ujść przed siłą attrakcyjną Newady, przybiega i opada na pustynią.

Cóż z tego? nim woda opadnie, pociągają ją ku morzu *Gila* i *Colorado*, których nurty użyźniają stoki Newady. Tylko pozostałe skrawki chmur przynoszą mały haracz wilgoci na suche a wyniosłe równiny środkowe, i spadają deszczem albo śniegiem na szczyty gór Skalistych. Ztąd tworzą się źrzódła i rzéki płynące na wschód i zachód; ztąd oazy podobne do parków, które spotkać można w górach. Ztąd wreszcie pochodzi żyzność nad del Norte i nad innemi wodami krajów środkowych.

Toż samo dzieje się z chmurami wznoszącemi się z Atlantyku, przy przejściu ich przez *Alegany*. Opisawszy wielki łuk około ziemi, zgęszczają się one i spadają w dolinach Ohio i Mississippi. Z którejkolwiek strony weźmiemy ten wielki ląd, w miarę jak się będziemy zbliżać do jego środka, urodzajność jego będzie się zmniejszać, a to jedynie dla braku wody. W wielu miejscach, — wszędzie, gdzie tylko napotkać można choćby ślad trawy, grunt posiada wszystkie własności sprzyjające bogatéj wegetacyi. Doktor to panu najlepiéj powie. On rozbierał chemicznie tę ziemię.

— Tak, tak! prawda! potwierdził krótko doktor.

— Jest tu wiele oaz, mówił daléj Seguin, i byleby tylko mieć wodę, można natychmiast wydobyć wspaniałą roślinność. Musiałeś to pan uważać na dolnym biegu rzéki; podobnież miała się rzecz w osadach hiszpańskich nad brzegami *Gili*.

— Ale dla czego te osady zostały opuszczone? zapytałem, bo mi nikt dotąd nie umiał powiedzieć rozumnéj przyczyny rozproszenia się tych kwitnących przedtem kolonii.

— Dla czego? odparł Seguin ze szczególną energią — dla czego? Jeżeli inna rasa ludzi nie obejmie tych ziem w posiadanie po rasie iberyjskiéj, to Apachowie, Nawajowie i Komanchowie, zwyciężeni niegdyś przez Korteza, a niekiedy i jego zwycięzcy, wypędzą potomków piérwszych zdobywców Mexyku. Przypatrz się pan na poły wyludnionym prowincyom Sonory i Chihuahuy! Przypatrz się Nowemu Mexykowi: jego mieszkańcy cierpiani tam są jeszcze jedynie przez tolerancyą; zdaje się że ziemię swoją uprawiają tylko dla swoich nieprzyjaciół, którzy nakładają na nich haracz coroczny!... Ale to już słońce daleko zabiegło. — Mości panowie! komu w drogę temu i czas.

— Siadajcie na koń. Możemy jechać rzéką. Dawno niebyło deszczu, więc woda jest płytka; inaczéj musielibyśmy okrążać z 15 mil przez góry. Trzymajcie się przy samych skałach i jedźcie za mną.

Dawszy nam tę przestrogę, wjechał w *Kanion*, my postępowaliśmy za nim w milczeniu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ZAGRODA WIEJSKA.

Powiastka z piérwszych lat XIX wieku.

(Z Biblioteki Warszawskiéj.)

(Dalszy ciąg. Ob. Nr. 43. 44. 45. 46. 47. Rozmaitości.)

VIII.

W cichéj komnacie ni śladu zmiany,
Ogień na białe połyska ściany
Jako przed laty. Koło komina
Siedzi pospołu cicha rodzina;
A obok Maryi, dziateczki małe
Jako jaskółki krążą nieśmiałe.
Starszy chłopczyna na kiju dziadka
Raźno wywija; młodszego matka
Tuli do piersi; maleńka Frania
Bawi się z lalką.
Czemuż przysłania
Pomrok oblicze niewiasty młodéj?
Czemu blask gaśnie dziwnéj urody?
Czemuż, gdy patrzy w dziateczek grono,
Boleść brzemieniem ciśnie jéj łono?
Dlaczego płomień ogniska blady,
Łzy i tęsknoty odkrywa ślady
Na zwiędłém licu?
I babuleńki
Oko z tęsknotą ściga maleńki
Diateczek wianek. Gaśnie w niéj życie!
Znać że niedola ugniata skrycie
Duszę niebogi. Chyli się głowa
Pod trosk ciężarem, a drżące słowa
Z zagasłéj piersi zwolna się wleką,
Jakby je trumny tłumiło wieko.

Czemuż i stolnik siedzi pouuro
I patrzy w ziemię, a szarą chmurą
Zachodzi czoło, jakoby sępy
Szarpały duszę? Dlaczego tępy
Słuch, lada poszmer w głęboką ciszę
Chwyta? Czemu, gdy wicher kołysze
Z szumem lipowe stare konary,
Powoli głowę podnosi stary
I z gasłém okiem pogląda w górę?
I znów oblicze skłania ponure
Ku ziemi, jakby głos w głębi ducha
Tkwił, że tam jeno pewna otucha!...

I tęskuo duma smutna rodzina,
A myśl jéj krąży koło Marcina,
Co siadłszy na koń czerstwy a młody,
Pobiegł za sławą w śniegi i lody!
Jak nocne ptastwo krążą już wieści,
Przejmując duszę grozą boleści;
Już utęsknione żony i matki,
W pałacu, równo jak w progu chatki,
Krwawo zawodzą; a jęk sieroty,
Gasi blask senny otuchy złotéj!...
Głucho dokoła; tylko konary
Drzew szumią zdala. Wtém Brysio stary
Głośno zawyje. Wojciech nieboże
Niemocą zdjęty zalega łoże,
A w jego miejscu Janek pachole
Krząta się w izbie.
Na starca czole
Dziwna myśl błyska!
— „Janku! co rychło
Wybież na drogę."
Ale ucichło
Wszystko do koła; tylko wichury
Świszcze z łoskotem odgłos ponury,
Tylko się puszczyk nocny odzywa.
A podstolina zadrży sędziwa,
Poruszy głową: bo jęk złowrogi
Nocnego ptastwa uczuciem trwogi
Pierś jéj w lód ścina.

Młode pachole
Wybiegło żywo; oczy sokole
Zwraca na drogę i w mroku szarym
Widzi, jak wózek nadciąga jarem
W parę szkapinek.
— „Ktoś skręca z drogi" —
Zdyszany rzecze, wróciwszy w progi.

Wszyscy pomilkli, tylko dokoła
Myśl nagła blade obiega czoła.
Każdy wejźrzenie rzuca nieśmiałe
Na drzwi komnaty, a nawet małe
Zmilkły dzieciny.
Wtém stawa w progu
Nieznana postać. Kożuch w barłogu
Spylony cały pokrywa barki;
Pod spodem widać niby czamarki
Wydartą połę, a brudna szmata,
Obiedwie nogi wkoło oplata;
Śniade od znoju i chłodu lica,
Jeno blask oczu w głębi przyświeca.
Zda się, że z trwogą i niepokojem
Patrzy wokoło. Styrane znojem
Lica wąs słoni, płowy, sumiasty,
A z-pod litewskiéj czapki śpiczastéj,
Płachta okrąża twarz napół z głową.

I milczy długo: zda się, że słowo
W ustach zamarło! Drzą obie wargi
Niby od bolu, a przecież skargi
Ani dosłyszéć.
Zaledwie dzieci
Dostrzegą postać, każde z nich leci
Do matki, tuląc się do jéj łona.

Młoda niewiasta niemniéj strwożona,
Drzy jak liść wątły: chwieje się blada,
Splątanych myśli wątek układa,
A czoło mglistym zachodzi cieniem.
Pierś przyciśnięta niby kamieniem,
I tchu pochwycić biédna nie może.

Wtém krzyk powstaje: — „Boże! o Boże!“ —
Wołają społem dziatki spłakane,
Patrząc jak obcy wsparty o ścianę,
W stolnika łzawe zatopił oko,
Pochylił głowę, westchnął głęboko;
I jakby siłą potężnéj woli
Skrzepion, ku niemu zbliża się gwoli,
Drząc na kolana pada z pokorą.
A kiedy dostrzegł zwiędłą i chorą
Stolnika postać, i włos gołębi
Nad zżółkłą skronią: ból piersi głębi
Rozsadza, lice rumieńcem pała,
Jakby krew w żyłach ogniem zawrzała.
Smutek go rzewny dziwnie przenika,
Gdy widzi piętno, co na stolnika
Licu, śmierć zgłoski już złowieszczemi
Wyryła, jakby na pastwę ziemi
Znacząc je rychło.
A stolnik oku
Nie śmié własnemu ufać w pomroku.
Przykłada drżącą rękę do czoła,
Popatrzy z-pod niéj: — „Boże! — zawoła —
Bądź chwała tobie.“
Młoda niewiasta
Patrzy — nie wierzy; a dziwny wzrasta
Zapał w jéj licu, gdy rzuci okiem.
A Bryś w milczeniu stoi głębokiém
W progu komnaty.
Tu starzec dłonie
W niebo wzniósł obie, łza w oku płonie,
I drżącym głosem zawoła: — „Panie!
Niech się już ze mną wola Twa stanie!
Zgaś iskrę życia, gdyś mi pod strzechę,
U dni mych kresu, zesłał pociechę;
Gdyś od sieroctwa uchronił dziatki,
I skrzepił serce zbolałéj matki!“ —
I łzą nanowo oko mu błyska,
Gdy podróżnego silnie przyciska
Do skrzepłéj piersi.
I Marya bieży
W objęcia męża; zaledwie wierzy
Własnemu szczęściu! Wiotka i blada,
Pierś do bijącéj piersi przykłada,
I usta do ust przyciska drżące.
Uśmiech je krasi, a łzy gorące
Po zbladłém lica płyną strumieniem,
I pierś ich cichém mówi westchnieniem.
A podstolina ukryta w cieniu,
Na drogą wnuczkę patrzy w milczeniu.

Po chwili Marya ze łzawém okiem
Jakby ockniona, jednym poskokiem
Do drobnych dziatek przybieży grona,
Gdy te do babki tulą się łona
Jako pisklęta: i znów w milczeniu
Dziécię na męża składa ramieniu.
A Marcin nie zna dzieciny hożéj!
Czemuż krzyżyka nad nią nie złoży.
Jak ojciec każdy zwykł czynić przecie,
Gdy po raz piérwszy obaczy dziécię?

Dziwnoż to Maryi! I znów drżącemi
Dłońmi Franulkę podnosi z ziemi,
Podaje ojcu.
Czemuż blednieje
Marcin? Dlaczego cofa się, chwieje,
I nie wyciąga do dziecka dłoni?
Dlaczego tylko łzę rzewną roni?

— „Co tobie drogi?“ — Marya zapyta,
Lecz darmo w oku małżonka czyta.
Nic nie wie; przecie już w głębi myśli
Nowéj się obraz niedoli kréśli:
Drzy, lubo prawdy nazbyt daleka.
W tem zblednie nagle.

— „Toż on kaleka!“
Zawoła głucho, i dziwnie blada
Wskazuje rękaw, co próżny spada
Zwisły z ramienia, na połę szaty.

Wspólny krzyk powstał w głębi komnaty
I płacz rzewliwy.

Marya z Marcina
Rąk bierze dziécię; koło komina
Sadza go w krześle, czapkę mu zdziera
Z głowy z pośpiechem, i znój ociera
Ze skroni: tkliwie pociesza, bada,
Do czoła drżące usta przykłada.
Zda się, że mocą wnet niezwalczoną,
Życie w Marcina powraca łono;
Na bladém licu znów krasa płonie.

Wtém stolnik powstał, i kosztur w dłonie
Ujmując, wsparty zbliża się wolno
Ku bratankowi, i nieudolną
Ręką roztwiera szatę i chusty,
Co kryją ramię. Zwiędłemi usty
Całuje miejsce, gdzie jeszcze rana
Niezagojona. Ciśnie młodziana
Do wyschłéj piersi silnie a drżąco:
Krew kipi w żyłach znowu gorąco,
W oku zapału znać dawne ślady...
Potém na krzesło upada blady!
O! bo zgrzybiałe ciało nie słucha
Młodzieńczéj woli, silnego ducha!

Dziwnyż gwar, wrzawa! Z sieni tymczasem
Czeladka wbiega w progi z hałasem;
Z łoża chorego nawet Wojciecha
Wygnała nagle dziwna pociecha!
Wsparty na kiju, z wiązaną głową
Wlecze się biedak, zaledwie słowo
Wymówić zdolny: — raczéj do mary
Podobien. Przecież rad sługa stary
Wita panicza, cieszy się, płacze,
Biada na jego dole tułacze.
Aż gdy dostrzeże kaleckie ramię,
Ciężko zawodzi i ręce łamie.

Wtém Marcin rzecze: — „Niechajże gwoli
Stanie się zadość Przedwiecznéj woli!
Boliż zaprawdę, gdy w pełni wieku,
Rychłą niemocą Pan grozi człeku;
Kiedy ni w sercu, ani w źrenicy
Nie zgasi życia, przecież prawicy
Zbawi za młodu! Ależ otucha
Tli jeszcze w piersi!.. Tam, gdzie głęboko
Nurt Berezyny krwawą posoką
Zrumienion płynie w łożu ze śniegu: —
Tam ręka moja leży na brzegu.
Pokój jéj wieczny, bo do ostatka
Wierną mi była!“

Smutna czeladka
Znów się łzawemi jęki odzywa;
I stolnik milczy i głową kiwa,
A podstolina dziateczki pieści.
Marya łzą płacze rzewnéj boleści,
Do piersi męża tuląc się blada,
I pocałunek gorący składa
Na pozostałéj jedynéj ręce!

— „Boli mnie jedno, że nie poświęcę
Już mojéj ręki dla was, kochani —
Wyrzecze Marcin. — To mi pierś rani
Ciężko i krwawo. Panie! na wieki
Święć się Twa wola! Skrzydłem opieki
Zasłoń jak tarczą rodzinę całą,
Kiedyć ramienia mego niestało!“

I spojżrzał w górę: łza błysła w oku.
Tuli się dziatwa do ojca boku,
Z dziatwą nadobna tuli się matka;
Gwarzy pospołu prosta czeladka,
A podstolina modli się z cicha.
Stolnik potrząsa głową i wzdycha,
Czując, że niegdyś niezłomne ramię,
Zgrzybiała starość zwolna mu łamie.

A na kominie jaskrawo błyska
Rozżarzonego płomień ogniska,
I krew Marcina napoły skrzepłą
Chłodem i znojem, domowe ciepło
Znowu ożywia. Spojżrzy znienacka
Na wizerunek starego Jacka,
A księżyc oknem tchnie tajemnicze
Światło, na piękne starca oblicze.
Zda się, że ogniem źrenica strzela,
A srebrnym blaskiem lśni karabela;
Zda się uśmiechać stary Prandota,
Że jeszcze miłość, wiara i cnota
Tli w jego gnieździe.

Jasnoż wśród strzechy!
Jak gdyby anioł z wieścią pociechy
Przemknął, i rozwiał białemi pióry
Złowieszcze bladéj tęsknoty chmury....

(Dokończenie nastąpi.)

Główny Redaktor **M. Szrzeniawa Sartyni.** *Z c. k. galicyjskiéj drukarni rządowéj.*